

Muzealizacja komunizmu

Realizacja wideo: dr hab. Piotr Witek



Zapraszamy do obejrzenia debaty

MUZEALIZACJA KOMUNIZMU

W rozmowie wokół książki Anny Ziębińskiej-Witek

Muzealizacja komunizmu w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2018

udział wzięli:

prof. Anna Ziębińska-Witek
(UMCS),

prof. Izabela Skórzyńska (UAM),

prof. Rafał Wnuk (KUL)

WIDEO: Polacy i Ukraińcy na Lubelszczyźnie w latach okupacji niemieckiej (1939–1944), a współczesny konflikt pamięci o tych wydarzeniach

Realizacja wideo: Piotr Witek, współpraca: Ewa Solska



Relacja wideo z debaty: Polacy i Ukraińcy na Lubelszczyźnie w latach okupacji niemieckiej (1939–1944), a współczesny konflikt pamięci o tych wydarzeniach

Tematem dyskusji były trudne relacje między społecznościami polską i ukraińską na południowo-wschodniej Lubelszczyźnie (w tradycji ukraińskiej południowej Chełmszczyźnie) podczas okupacji niemieckiej. Uczestnicy dyskusji próbują odpowiedzieć na pytanie jakie okoliczności doprowadziły do szczególnie ostrego w latach 1943–1944 antagonizmu między Polakami i Ukraińcami na tym terenie oraz jakie były tego następstwa? Ponadto dlaczego obie społeczności w tak odmienny sposób interpretują i wyjaśniają owe tragiczne wydarzenia? I czy istnieje sposób mówienia o nich, który niwelowałby fatalne skutki tzw. polityki historycznej i wynikający z niej m.in. współczesny konflikt pamięci o wspólnej, lecz niełatwej przeszłości?

W dyskusji udział wzięli: prof. Igor Hałagida, dr Grzegorz Kuprianowicz i dr Mariusz Zajączkowski.

Debatę poprowadziła Bogumiła Berdychowska

Termin: 3 grudnia 2018 r., godz. 19.00

Miejsce: Sala Czarna, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, ul. Grodzka 21.

Kilka refleksji na marginesie dyskusji
„»Wychowanie ku niepodległości«.
Publicystyka pisma »Spotkania«”



MAŁGORZATA CHOMA-JUSIŃSKA

Kilka refleksji na marginesie dyskusji „»Wychowanie ku niepodległości«. Publicystyka pisma »Spotkania«”

19 listopada 2018 r. w siedzibie Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” odbyła się dyskusja współorganizowana przez Ośrodek i portal Ohistorie.eu, poświęcona publicystyce niezależnego pisma „Spotkania”. W panelu wzięli udział: o. Tomasz Dostatni OP, publicysta, duszpasterz, inicjator wielu debat poświęconych przeszłości i współczesności, Agata Fijuth-Dudek, politolog, zajmująca się m.in. publicystyką Leopolda Ungera na łamach „Kultury”, Marek Kunicki-Goldfinger, historyk, autor przygotowywanej do druku biografii Janusza Krupskiego, oraz Krzysztof Żórawski, wieloletni współpracownik „Spotkań”. Rozmowę moderowała Małgorzata Choma-Jusińska.

Przypomnijmy w zarysie dzieje tego drugoobiegowego periodyku. W 1977 r. w środowisku studentów i niedawnych absolwentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego zrodził się pomysł wydawania nieocenzurowanego pisma. Pierwszy numer „Spotkań. Niezależnego Pisma Młodych Katolików” ukazał się w Lublinie w drugiej połowie listopada. Głównym redaktorem i twórcą pisma był Janusz Krupski. W różnych okresach z redakcją „Spotkań” byli związani m.in. Janusz Bazydło, Zdzisław Bradel, Adam Konderak, Krzysztof Paczuski, Jan Andrzej Stepek, Jan Krzysztof Wasilewski. W stopce figurowali również działacze Studenckiego Komitetu Solidarności z Krakowa: Józef Ruszar (ps. Józef Ciszkowski) i Wojciech Oracz. Wokół „Spotkań” skupionych było około 30 osób, zajmujących się pracami redakcyjnymi, drukowaniem i kolportażem pisma. Natomiast lista osób współpracujących z pismem czy biorących udział w dyskusjach, które określilibyśmy jako programowe, była znacznie dłuższa i obejmowała grono wykładowców KUL, środowisko „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi” oraz warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej.

Oprócz czasopisma wydawano książki – w ramach „Biblioteki »Spotkań«”. Grupę łączyły więzy przyjacielskie, wzmacniane m.in. dzięki spotkaniom dyskusyjnym organizowanym w Lublinie w mieszkaniu Bożeny Iwaszkiewicz-Wronikowskiej. Środowisko „Spotkań” było również blisko związane z o. Ludwikiem Wiśniewskim OP, uczestnicząc w prowadzonym przez niego duszpasterstwie akademickim. W 1978 r. w Paryżu Piotr Jegliński, współinicjator działalności wydawniczej

lubelskiej grupy, założył wydawnictwo Editions „Spotkania”, które przedrukowywało czasopismo i wydawało serię książkową.

W sumie wydano 35 numerów pisma o objętości od 70 do około 300 stron. Część artykułów była przygotowana specjalnie dla lubelskiego pisma. Niektóre teksty powstały z myślą o druku w oficjalnej prasie, ale po tym jak cenzura zakwestionowała ich treść, autorzy zamieszczali je w „Spotkaniach”. Lubelski periodyk pozyskiwał również materiały dzięki kontaktom na Zachodzie, zwłaszcza pośrednictwu Jeglińskiego w polskich środowiskach emigracyjnych i diasporach z innych krajów komunistycznych. Kilkakrotnie dokonano także przedruków z czasopism ukazujących się na Zachodzie. Dominowały teksty autorów z kręgów katolickich. Większość numerów otwierały dokumenty Episkopatu Polski lub teksty okolicznościowych homilii. Publikowane materiały z reguły zamieszczano w ramach bloków tematycznych dotyczących m.in. sytuacji Kościoła w Polsce, perspektyw rozwoju kultury w systemach totalitarnych, formowania młodego pokolenia czy ważnych wydarzeń bieżących, takich jak wizyta Czesława Miłosza w Lublinie w 1981 r. Wielokrotnie drukowano wypowiedzi księży: Franciszka Blachnickiego, Stanisława Małkowskiego, Józefa Tischnera, Ignacego Tokarczuka, ponadto zaś Wojciecha Chudego, Tadeusza Chrzanowskiego, Stefana Kisielewskiego, Jerzego Narbutta. W „Spotkaniach” ukazało się też kilka wywiadów Ewy Berberysz z ważnymi postaciami życia intelektualnego.

Tytuł pisma stanowił swego rodzaju manifest postawy i deklarację ideową. „Spotkania” miały być przestrzenią dialogu, wymiany poglądów z ludźmi o innych zapatrywaniach. Patrząc na problemy Polski i świata oczami chrześcijan, twórcy pisma przykładali wielką wagę do refleksji nad samym Kościołem, postrzeganym i jako wspólnota wiernych, i instytucja. Ojciec Tomasz Dostatni zwrócił uwagę, że na łamach „Spotkań” rzucał się w oczy przede wszystkim obraz Kościoła posoborowego, kładącego nacisk na dialog z innymi wyznaniem. Jak podkreślił, szczególnym elementem tego obrazu było także ukazanie sytuacji katolicyzmu w Polsce w zestawieniu z położeniem Kościołów w innych krajach, zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej. W Polsce tamtego czasu zupełnie nieznane były: codzienność katolików w państwach komunistycznych, skala represyjności władz, strategie przetrwania stosowane przez wiernych i księży czy inicjatywy kręgów katolickich na rzecz przestrzegania praw człowieka, zwłaszcza wolności religii. „Spotkania” konsekwentnie przybliżały czytelnikom te zagadnienia, publikując wypowiedzi autorów dobrze znających opisywane realia, jak artykuł dominikanina o Aleksandra Hauke-Ligowskiego, który dzielił się wrażeniami z pobytu w Wilnie (*Przyjeżdżajcie do nas a nie po złoto*, nr 15), czy tekst czeskiego emigranta Aleksandra Tomsy'ego *Kościół w Czechosłowacji* (nr 19/20).

Nie sposób w skrócie ująć wielość głosów dotyczących Kościoła w Polsce, jego przeszłości, sytuacji bieżącej i wyzwania na przyszłość, zwłaszcza że w ciągu jedenastu lat ukazywania się „Spotkań” przechodził pewną ewolucję związaną z takimi wydarzeniami, jak wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża czy narodziny Solidarności i wprowadzenie stanu wojennego. W tym kontekście ważnym elementem obrazu Kościoła, jaki wyłania się ze „Spotkań”, było zaangażowanie wielu ludzi, duchownych i katolików świeckich, na rzecz stworzenia w Kościele przestrzeni dla różnych niezależnych inicjatyw

pomocowych i kulturalnych.

Marek Kunicki-Goldfinger zwrócił uwagę, że jednym z najważniejszych elementów przesłania „Spotkań” było dążenie do wcielania ideału *iunctim* między doskonaleniem życia indywidualnego a właściwymi postawami w życiu zbiorowym. Ważnym wzorem takiej postawy był ruch neofilarecki z początku XX w., opisany przez Janusza Krupskiego w numerze 8, łączący dążenie do rozwoju intelektualnego, doskonałości moralnej z walką o niepodległość. W „Spotkaniach” należy zatem widzieć nie tylko pismo czy wydawnictwo, lecz także ruch na rzecz wartości, jak stwierdził prelegent.

Na łamach „Spotkań” w różnych kontekstach eksponowano myśl, że człowiek ze swej istoty jest zakorzeniony w społeczeństwie, jego samorealizacja jest możliwa tylko we wspólnocie z inni ludźmi. Konsekwencją tego ujęcia było podkreślenie wzajemnej odpowiedzialności człowieka i społeczeństwa. Człowiek ma prawo do życia w społeczeństwie i państwie, w którym jest poszanowana jego godność. Zobowiązanie moralne polega zatem na odrzuceniu ustroju, państwa czy organizacji, które uderzają w osobę ludzką, oraz tworzeniu instytucji pożytecznych społecznie i czynnym zaangażowaniu w ich działalność. W tym wyrażała się polityczność człowieka, przy czym polityka w „Spotkaniach” była rozumiana jako troska o dobro wspólne („Tadeusz Dąbrowa”, właśc. Wojciech Chudy, *Człowiek polityczny*, „Spotkania” 1982, nr 19/20).

W wypadku grupy skupionej wokół „Spotkań” zaangażowanie społeczne przejawiało się w inicjatywach wychodzących naprzeciw tym, którzy potrzebowali w danej chwili wsparcia – byli to np. robotnicy represjonowani po Czerwcu 1976, pracownicy Spółdzielni Inwalidów Niewidomych w Lublinie, którym zabroniono służyć audycji religijnych, czy grekokatolicy w Polsce, których wolność wyznania naruszano w stopniu znacznie bardziej drastycznym niż katolików.

Środowisko „Spotkań” uformowane było w tradycji Rzeczypospolitej Jagiellońskiej. Wynikało to z konkretnej formacji uniwersyteckiej, zetknięcia z osobami urealnijającymi tę tradycję, wybitnymi wykładowcami ukształtowanymi w atmosferze przedwojennego Wilna i Uniwersytetu Stefana Batorego, m.in. Ireną Sławińską i Czesławem Zgorzelskim. Prelegenci zgodnie jednak dostrzegli bardzo istotny wpływ Jerzego Kłoczowskiego. Redaktorzy i współpracownicy „Spotkań” (wśród których wielu było historykami lub historykami sztuki) z seminariów magisterskich i doktorskich u profesora Kłoczowskiego wynieśli spojrzenie na sprawy Polski w szerszym kontekście, na tle jej stosunków z sąsiednimi narodami i jej miejsca w Europie; spojrzenie łączące krytyczne myślenie o dziedzictwie historycznym z refleksją o współczesności.

Historia była stale obecna na kartach pisma. Krzysztof Żórawski zwrócił uwagę, że poza osobistymi zainteresowaniami redaktorów „Spotkań” istotne znaczenie miało poczucie ciągłości z doświadczeniami poprzednich pokoleń. Wspólna przeszłość i kultura dawały oparcie do budowania wspólnoty, przełamywania atomizacji społecznej. W realiach ograniczeń stawianych przez cenzurę „Spotkania” – jak zresztą cały niezależny ruch wydawniczy – miały także ogromne zasługi dla poszerzenia możliwości poznania zwłaszcza dziejów XX w. Zestaw tematów najczęściej poruszanych na łamach pisma nie budzi zaskoczenia, pokrywa się z rozkładem tzw. białych plam w powojennej historiografii. Były to zatem zagadnienia dotyczące II wojny światowej i

historii Polski po wojnie, dziejów Kościoła, tematyki kresowej i łagrowej, biografie polityków i działaczy społecznych zepchniętych w okresie PRL w niepamięć. Ważnym osiągnięciem było wydanie w sumie ośmiuset stron dokumentów i relacji dotyczących rewolty na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. Był to unikatowy, bogaty materiał zgromadzony przez sekcje historyczne zarządów regionów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku i Szczecinie w dziesięciolecie wydarzeń („Spotkania” 1983, nr 23–25). Materiały dotyczące tematyki historycznej publikowane w czasopiśmie uzupełniały tytuły „Biblioteki »Spotkań«”, m.in. *Wspomnienia z Kazachstanu* ks. Władysława Bukowińskiego (1979), duszpasterza zesłańców; *Józef Grzesiak Czarny* Aleksandra Kamińskiego i Andrzeja Wasilewskiego (1980), biografia harcerza, żołnierza AK, więźnia stalinowskiego; *Zapluty karzeł reakcji* – poczytne wspomnienia Piotra Woźniaka, żołnierza AK, a po wojnie komendanta rzeszowskiego Okręgu Narodowego Związku Wojskowego, więźnia politycznego.

Wiele miejsca „Spotkania” poświęciły wejrzeniu we wspólną przeszłość Polaków i sąsiednich narodów. Na łamach czasopisma wielokrotnie podkreślano współzależność losów Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Zbudowanie pozytywnych relacji z sąsiadami, zwłaszcza Ukraińcami, uznawano wręcz za narodową rację stanu. Było to myślenie bliskie stanowisku „Kultury”, ukształtowane pod wpływem także – choć nie jedynie – paryskiego periodyku. Zresztą, jak zauważyła Agata Fijuth-Dudek, oddziaływanie „Kultury” można również dostrzec w myśleniu o miejscu Polski w Europie. „Spotkania” akcentowały bowiem dążenie do odbudowania w społeczeństwie poczucia przynależności Polski do wspólnoty europejskiej. Marek Kunicki-Goldfinger podkreślił, że było to jedno z pierwszych pism niezależnych w kraju, które od lat 70. konsekwentnie starało się postrzegać sprawę Polski w szerokim kontekście kultury, tradycji, przeobrażeń społecznych i politycznych w Europie. O tym, jak istotna była ta kwestia dla „Spotkań”, świadczy fakt, że akurat ten element programu środowiska został uwytłumaczony w treści oświadczenia wydanego zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego. Podkreślono wówczas znaczenie budowania świadomości miejsca Polaków „w Wolnym Świecie, w zjednoczonej, chrześcijańskiej Europie” (*Oświadczenie przedstawicieli ruchu u redakcji „Niezależnego Pisma Młodych Karolików. Spotkania”* 1981/1982, nr 17/18). Również w tej sprawie nie poprzestano na deklaracjach, środowisko nawiązało bowiem bezpośrednie kontakty z przedstawicielami liberalnych i chadeckich organizacji młodzieżowych na Zachodzie.

Autorzy „Spotkań” sięgali po różne formy publicystyczne, od homilii po obszernie artykuły przekrojowe, dotyczące np. dziejów stosunków polsko-ukraińskich czy polsko-żydowskich. Jednak – jak zwrócili uwagę prelegenci – szczególny wgląd w prezentowane tematy stał się możliwy dzięki mikrohistoriom. Opowieści o losach poszczególnych osób czy niewielkich społeczności pozwalały na zderzenie przeżyć Polaków i mieszkańców innych państw komunistycznych; unaoczniały głębię doświadczeń jednostkowych, miały rangę świadectw.

Ten przegląd zagadnień poruszanych w czasie spotkania nie wyczerpuje wszystkich tematów podjętych przez prelegentów. Tym bardziej nie w pełni oddaje różnorodność treści zamieszczanych w lubelskim periodyku. Należy mieć nadzieję, że będzie skuteczną zachętą do bliższego zapoznania się z

intelektualnym dorobkiem tego środowiska, które oddziaływało na inteligencję katolicką w latach 70. i 80. XX w. Wiele zagadnień poruszanych na łamach „Spotkań” nie straciło aktualności. Zamieszczane tam opinie należy uznać za inspirujące również dla dzisiejszych czytelników.

Korekta językowa: Beata Bińko

Grecy i Macedończycy w PRL



Pochód greckich uchodźców „w obronie pokoju” w Jednostce Wojskowej nr 1904 w Dziwnowie.
[Archiwum IPN (teczka Zarządu II Sz. G. WP) lata 1949-1950.]

MAGDALENA SEMCZYSZYN

Grecy i Macedończycy w PRL

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku do Polski trafiło blisko 14 tys. osób z wyniszczoną wojną domową Grecji. W wyniku porażki greckich komunistów w walce z monarchią Jerzego II, wspieranego przez Wielką Brytanię i USA, kraj musieli opuścić żołnierze Demokratycznej Armii Grecji (DAG) – formacji walczącej pod egidą Komunistycznej Partii Grecji (KPG) oraz cywile z kontrolowanej do 1948 r. przez lewicę północnej części kraju.

Polska nie była wyjątkiem. Jeszcze podczas wojny uchodźcy znaleźli azyl polityczny w państwach strefy wpływów ZSRR. Jako pierwsze ewakuacji podlegały dzieci (ogółem około 17 tys.). Od 1948 r. wywożono ludność cywilną na tereny sąsiadujących z Grecją Jugosławii i Albanii. Rok później górzystymi szlakami prowadzącymi do granic „bratnich państw” uciekali partyzanci DAG. Po zakończeniu działań wojennych w Grecji rozpoczęły się krwawe represje wobec zwolenników lewicy. Do więzień trafiło przeszło 50 tys. osób, wykonano

egzekucje na około 1200 członkach KPG. Ewakuacja okazała się dla wielu osób jedynym ratunkiem. Do państw bloku wschodniego udało się ogółem 56 tys. greckich i macedońskich uchodźców.

Akcja pomocy dla komunistycznej Grecji była największą tego typu operacją przeprowadzoną w PRL. Rozpoczęło ją przyjęcie w 1948 r. około 4000 dzieci, przywiezionych pociągami z obozów dla uchodźców w Rumunii. Wśród nich były sieroty oraz dzieci, których rodzice pozostali w Grecji lub znaleźli się w obozach dla uchodźców w krajach bałkańskich. Dzieci trafiły do ośrodków wychowawczych w Międzygórzu, Łądku-Zdroju i Szczawnie-Zdroju. Następnie, w latach 1949-1950 pod polską i rumuńską banderą przywieziono do Polski kilka tysięcy dorosłych. Z portu Durrës w Albanii przez Morze Śródziemne, Gibraltar, kanał La Manche, Cieśniny Duńskie dotarli oni do portów w Gdańsku, Kołobrzegu i Świnoujściu. Całość operacji była tajna i koordynował ją II Oddział Sztabu Generalnego WP. Osoby zdrowe i w podeszłym wieku przewieziono pociągami do Dusznik-Zdroju, Zgorzelca i Międzygórza. Ranni trafili do Chirurgicznego Szpitala Polowego nr 250, utworzonego specjalnie w tym celu w ponemieckiej bazie hydroplanów w Dziwnowie. Na leczeniu w tej specjalnej placówce przebywało około 2000 rannych partyzantów. Wielu wymagało specjalistycznej opieki i wieloetapowych operacji, najczęściej amputacji kończyn.

Na terenie jednostki w Dziwnowie powstała także szkoła oficerska dla kilkuset żołnierzy DAG. Druga jednostka „grecka” istniała do 1950 r. w koszarach w Wędrzynie (pow. Sulęcín, na ziemi lubuskiej). W Komorowie koło Warszawy szkolono dywersantów i dowódców oddziałów partyzanckich. Zarówno działacze KPG na emigracji, jak również polskie dowództwo wojskowe początkowo utwierdzały przybyłych w przekonaniu, że niebawem powrócą do ojczyzny, by z bronią w ręku kontynuować walkę z „faszystowskim rządem”. Nadzieje na „odbicie” Grecji z rąk „imperialistycznego” Zachodu rozwiały się jednak szybko. Wkrótce ozdrowieńcy ze szpitala polowego nr 250 dołączyli do reszty uchodźców, osiedlonych na Dolnym Śląsku, Pomorzu Zachodnim, Ziemi Lubuskiej i w wyludnionych Bieszczadach.

Greckie osiedla

W przeważającej większości greckich emigrantów politycznych osiedlono na Ziemiach Zachodnich. Ponieważ rząd grecki pozbawił ich obywatelstwa, w PRL uzyskali oni status bezpaństwowców (apatrydów) i azyl polityczny (na mocy art. 75 konstytucji PRL z 22 lipca 1952 r.). Wśród osób dorosłych prawie 30% stanowiła ludność cywilna. Odsetek kobiet wynosił 37% – wiele z nich walczyło w szeregach DAG. Chociaż utarło się przekonanie, że uchodźcy byli Grekami, to w rzeczywistości skład etniczny przybyłych był zróżnicowany. 55% przybyłych stanowili Grecy, 45% Macedończycy, a resztę prawosławni Kucowołosi, posługujący się dialektem albańskim Arwanici i muzułmańscy Pomacy. W przeszło 90% była to ludność pochodząca z wiejskich terenów Grecji.



Młodzież grecka ze Zjednoczonej Panhelleńskiej Organizacji Młodzieży EPON związanej z Greckim Frontem Wyzwolenia Narodowego EAM, Dziwnów. [Archiwum IPN (teczka Zarządu II Sz.G. WP) lata 1949-1950.]

Do 1955 r., w wyniku akcji łączenia rodzin organizowanej przez PCK, liczba greckich imigrantów zwiększyła się w Polsce do 15 tys. Pod nadzorem MSW przybysze zostali rozlokowani w kilkudziesięciu ośrodkach na Ziemiach Zachodnich. Przeważającą większość zakwaterowano w miastach na terenie Dolnego Śląska. Niekwestionowaną grecką stolicą stał się Zgorzelec, skupiający 18% ogółu apatrydów (2258 osób w 1958 r.). W mieście istniały instytucje związane z uchodźcami: dom starców, dom dziecka i Spółdzielnia Inwalidów „Delta”. Kilka tysięcy osób zamieszkało we Wrocławiu, Legnicy, Świdnicy i Wałbrzychu, kolejnych kilkaset skierowano do Szczecina, Gdyni, Gdańska i Poznania. Ponad 1100 greckich rolników osiedlono w 37 wsiach na Ziemi Lubuskiej. W latach 1951-1953 ponad 2200 Greków i Macedończyków z Dolnego Śląska skierowano w Bieszczady, gdzie zamieszkali w opuszczonych wsiach w rejonie Ustrzyk Dolnych. W Krościenku (miejscowości w całości zamieszkałej przez społeczność z Grecji) powołano spółdzielnię rolniczą „Neo Zoi” („Nowe Życie”).

W 1951 r. ponad 2500 greckich dzieci z Dolnego Śląska przeniesiono do Państwowego Ośrodka Wychowawczego (POW) w Policach pod Szczecinem. Specjalnie dla nich zagospodarowano zrujnowany kompleks poniemieckiej fabryki paliwa syntetycznego, o powierzchni 130 ha. Osiedlono tam również około 300 dorosłych. Wkrótce Police ochrzczono „małą Helladą”, ponieważ Grecy i Macedończycy stanowili niemal połowę populacji miasteczka. Ośrodki dla młodych uchodźców istniały także m.in. w Szczecinie, Zgorzelcu i Płakowicach na Dolnym Śląsku.

Do 1956 r. greccy osadnicy nie mieli prawa samowolnej zmiany miejsca zamieszkania. Gdy zakaz anulowano, wiele rodzin zaczęło swoje prywatne odyseje, szukając odpowiedniego miejsca do życia. Część Macedończyków wyjechała do Bułgarii i Jugosławii, zaczęły się także, jeszcze ograniczone, bo dotyczące tylko osób niezwiązanych z DAG, powroty do ojczyzny. Większość

greckich uchodźców szybko opuściła Bieszczady i Ziemię Lubuską. W Polsce preferowano duże ośrodki miejskie, w których łatwiej było o niwelowanie różnic kulturowych i językowych. Najtrwalsze skupiska greckie przetrwały w miastach Dolnego Śląska, w Szczecinie, Trójmieście i Poznaniu.

Nowy dom i tęsknota za ojczyzną

Do połowy lat pięćdziesiątych władze PRL przeznaczyły na prowadzenie domów dziecka, szkół, kolonii, kursów i infrastrukturę dla przybyszów z Grecji 272 miliony złotych. Władze kładły szczególny nacisk na zapewnienie im stałego zajęcia. Wśród osób dorosłych prowadzono kursy zawodowe, połączone z nauką języka polskiego. W 1951 r. około 3500 kursantów skierowano do pracy w państwowych gospodarstwach rolnych Dolnego Śląska, kolejne kilkaset osób znalazło zatrudnienie we wrocławskim „Pafawagu”, wałbrzyskich kopalniach, w jeleniogórskiej „Celwiskozie”, Spółdzielni Inwalidów „Delta” w Zgorzelcu, Stoczni im. Adolfa Warskiego w Szczecinie i w tamtejszym Zarządzie Portu. W późniejszych latach młodzi Grecy chętnie podejmowali pracę w marynarce handlowej. Szacuje się, że do 1975 r. około 2300 apatrydów zdobyło w Polsce średnie i wyższe wykształcenie. Wśród pokolenia greckich przybyszów dorastających w PRL pojawiło się wielu znanych artystów, którzy w swojej twórczości nawiązywali do greckich motywów, m.in. piosenkarka Eleni Tzokas, tenor Paulos Raptis, muzyk Nikos Ruskietos, malarz Telemach Pilitsidis czy poeta Nikos Chadzinikolau.

Życie społeczno-kulturalne Greków i Macedończyków w Polsce koncentrowało się wokół powstałego w 1953 r. Związku Uchodźców Politycznych z Grecji im. Nikosa Belojannisa. Organizacja posiadała 40 oddziałów regionalnych i wydawała własną gazetę, „Dimokratis”. Chociaż Związek był silnie zideologizowany, to jednak stanowił azyl jednoczący społeczność uchodźców. Integracji służyły także coroczne festiwale muzyczne i spotkania, organizowane m.in. w Zgorzelcu. Byli partyzanci skupili się w Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Propaganda PRL utrwaliła mit, że wszyscy greccy emigranci byli zatwardziałymi komunistami. Nie jest to jednak prawdziwy obraz. Wielu byłych żołnierzy DAG nie należało do KPG (w 1950 r. w Polsce na 15 tys. uchodźców legitymację KPG posiadało 2900 osób). Z kolei wśród samych greckich komunistów istniało sporo różnic ideologicznych, które powodowały występowanie wielu rewizjonistycznych i antymoskiewskich frakcji. Był to jeden z powodów, dla których uchodźcami interesowała się Służba Bezpieczeństwa PRL. Większość z nich trzymała się jednak z dala od polityki, próbując znaleźć ukojenie po doświadczeniach wieloletniej, wojennej traumy i ułożyć sobie życie w nowej ojczyźnie. Jednocześnie wielu uchodźców nigdy nie porzuciło marzeń o powrocie do swojej ojczyzny.

Powrót do Grecji osób walczących w komunistycznej partyzantce był możliwy dopiero w wyniku przemian, które nastąpiły w tym kraju po zakończeniu rządów junty „czarnych pułkowników” (1967-1975). W 1982 r. rząd w Atenach wydał dekret zezwalający na reemigrację, czyniąc jednak zastrzeżenie odnośnie do Macedończyków. Warunkiem przywrócenia obywatelstwa w ich przypadku była zmiana słowiańskich imion i nazwisk na greckie. Z możliwości powrotu skorzystało wówczas około 6 tys. uchodźców.

Obecnie szacuje się, że w Polsce mieszka około 3600 osób narodowości greckiej

(większość na Dolnym Śląsku) i około 300 Macedończyków – w większości potomków apatrydów z lat 1949-1950.

Korekta językowa: Beata Bińko

0 kompetentnym patriotyzmie



SŁAWOMIR ŁUKASIEWICZ

0 kompetentnym patriotyzmie

Rapperswil jest bardzo dobrym miejscem do rozważań o patriotyzmie. O polskim patriotyzmie szczególnie, ale uczynimy na nasze potrzeby z tego kategorię uniwersalną – o patriotyzmie każdego człowieka. Rapperswil ma pewne szczególne cechy. Po pierwsze, jest z daleka od Polski. A więc daje pewien neutralny grunt i konieczny dla Polaka dystans, aby na rzecz spojrzeć. A jednocześnie Rapperswil jest pełen polskich śladów i manifestacji patriotyzmu. Pełne ich jest znakomite muzeum, o którego egzystencję cały czas toczy się batalia. I toczą ją Polacy, dla których egzystencja muzeum stanowi właśnie o istocie ich patriotyzmu. Czy jest to punkt zbieżny z punktem widzenia instytucji, które mogłyby tę egzystencję zagwarantować – tutaj można mieć pewne wątpliwości. Ale nie zagłębiajmy się w dodatkowy problem, jakim może być wsparcie instytucji dla działań patriotycznych. Koniec dygresji. Wreszcie Rapperswil to także miejsce, gdzie stoi kolumna barska – symbol umiłowania wolności w czasach, kiedy ta wolność staje się zagrożona. Znajdziemy tu pamiątki i po Tadeuszu Kościuszcze, i po Janie Nowaku-Jeziorańskim, wiele historycznych świadectw działania na rzecz Polski.

To wszystko to ważne zewnętrzne ślady i symbole patriotyzmu, formy pamięci o patriotyzmie naszych przodków, o patriotyzmie, który niejednokrotnie wiązał się z poświęceniem. Czymże jednak jest ów patriotyzm, gdzie szukać jego źródeł, jak go wyrażać, wreszcie: czy jest tylko jeden rodzaj patriotyzmu? I tutaj Rapperswil znowu przychodzi z pomocą, tym razem za sprawą przechowywanych archiwów. Są to archiwa znakomite. Polskich patriotów, którzy działali na rzecz Polski w świecie. Ale aby to czynić, najpierw przeszli testy, których nikt z nich się zapewne nie spodziewał. Skupię się tutaj na dwóch osobach, chociaż pewnie można byłoby tę listę wydłużyć. Chociażby o Zbigniewa Rapackiego – uczestnika powstania warszawskiego, doradcy najważniejszych francuskich polityków w latach zimnej wojny, ale również doradcy prymasa Stefana Wyszyńskiego, gdy ten wyjeżdżał na Zachód. Czy znakomitego pisarza Jerzego Stempowskiego, którego przepastna spuścizna trafiła właśnie tutaj. Jednak my skupimy się na ojcu Józefie Innocentym Marii Bocheńskim i Krystynie Marek. Pierwszą z tych postaci być może przynajmniej część osób zna i kojarzy – dominikanin, znakomity logik, profesor i przez krótki czas rektor uniwersytetu we Fryburgu, znakomity znawca filozofii marksistowskiej i niestrudzony jej krytyk. Przygotowany przez niego przewodnik po światowym komunizmie, liczący 8 tys. stron i gromadzący teksty 60 autorów ze świata, ukazał się w setkach tysięcy egzemplarzy – rzecz dzisiaj niewyobrażalna w przypadku książki naukowej. W jego biografii odnajdujemy również piękny szlak bojowy w czasie II wojny jako kapelana biskupa polowego Wojska Polskiego abpa Józefa Gawliny, a także świadka bitwy pod Monte Cassino. Jednak Krystyna Marek? Zakładam, że dla współczesnego czytelnika imię to brzmi zupełnie głucho. Nie miała życiorysu tak barwnego jak ojciec Bocheński – zapalony automobilista i pod koniec życia także lotnik-amator. Dla Krystyny Marek wojna zaczęła się od wędrówki przez Rumunię, Francję i północną Afrykę do Anglii. Tutaj spędziła większą część wojny, nabierając sprawności w językach obcych i sprawach konsularno-dyplomatycznych, myśląc w przyszłości o karierze dyplomaty. Jednocześnie prowadziła na potrzeby polskiego rządu kampanię uświadamiającą brytyjskim robotnikom, jak wygląda sytuacja Polski i jak wielki wysiłek ponoszą Polacy, walcząc w tej wojnie. W ocenie ówczesnego polskiego rządu wykonywała tę pracę znakomicie. Potem studia w Genewie, dzięki którym stała się prawdopodobnie jednym z najlepszych polskich specjalistów od prawa międzynarodowego – jeszcze do tego na chwilę wrócimy. I wreszcie czas „Solidarności” – intensywna współpraca z biurem w Brukseli, kierowanym przez Jerzego Milewskiego, dzięki czemu powstał raport Międzynarodowej Organizacji Pracy – znakomite dokonanie obnażające ówczesną sytuację w Polsce przez międzynarodową organizację zajmującą się sprawami robotników – to też wypadnie nam jeszcze skomentować. Obie biografie można byłoby opowiadać w szczegółach jeszcze długo, ale poprzestańmy na tym – to wystarczy, aby zasygnalizować, że nie można nic tym życiorysom zarzucić, jeśli chodzi o ich egzamin z patriotyzmu. A każde z nich definiowało ten patriotyzm na inny sposób. Zacznijmy od ojca Bocheńskiego. W filmie, który można obejrzeć w Internecie, zatytułowanym „Mistrz życia” i zrealizowanym jeszcze w 1987 roku, Bocheński mówił o patriotyzmie mniej więcej tak: patriotyzm nie jest zabobonem, ale z nim związane są dwa zabobony. „Jeden z nich to jest nacjonalizm, który każe nie tylko kochać swój kraj, ale robi z niego coś wyłącznie jedyne i każe odnosić się z pogardą czy nawet nienawiścią do innych – to nie jest to samo, co patriotyzm. A drugi zabobon, bardzo dziś

rozpowszechniony, moim zdaniem dużo gorszy, to jest przeciwieństwo tego pierwszego. To jest pogląd, że człowiek nie ma prawa kochać swoją ojczyznę bardziej niż inne. [...] Jest rzeczą jasną, że mamy obowiązek kochać wszystkich ludzi, ale [...] gdy jesteśmy zmuszeni do wyboru, powinniśmy dać pierwszeństwo swojemu rodakowi. Otóż dzisiaj doszło do tego, że każdy, kto ośmieli się powiedzieć, że bardziej woli Polaka od powiedzmy człowieka z Ekwadoru czy z Wietkongu, mówi się, że jest rasistą. [...] Miłość do swoich rodaków nie jest czymś złym, jest czymś dobrym. Dopiero tam, gdzie się innych nienawidzi, nie ma się dla nich żadnych względów, to zaczyna być rzecz zła". Konkluzja: zabranianie własnym rodakom miłości ojczyzny jest groźnym zabobonem. Ten nieco długi fragment wymagałby oczywiście komentarza. Sporo takich komentarzy można znaleźć również w Internecie, m.in. dotyczących ewolucji poglądów Bocheńskiego na pojęcie nacjonalizmu, który przed wojną dopuszczał. Niestety głosy te ignorują prostą logiczną prawdę wypowiedzianą przez tego głęboko chrześcijańskiego myśliciela: miłość ojczyzny, miłość rodaków jest czymś dobrym, jak miłość bliskich, ale nienawiść obcych jest czymś złym. Koniec, kropka. Jest to myśl głęboko chrześcijańska i przywołana została nie tak dawno przez polski episkopat w ważnym dokumencie na temat patriotyzmu. Tyle, że ta myśl Bocheńskiego może budzić sprzeciw zarówno tych, którzy mają obecnie „alergię” na patriotyzm, jak i tych, którzy patriotyzmu używają jako oręża politycznego. A przecież myśl logika jest prosta i pozwala przywrócić odpowiednie znaczenie słowom. To bardzo istotne we współczesnej debacie.

A teraz Krystyna Marek. Na początek wyobraźmy sobie dwudziestopięcioletnią dziewczynę, która w wrześniu 1939 roku opuszcza ukochany Kraków i zaczyna do niej docierać, że może już nie być jej dane do niego szybko wrócić. Dziewczynę solennie wykształconą w polskich i szwajcarskich szkołach. W jej dzienniku, zachowanym właśnie w Rapperswilu, pod datą 9 września 1939 r. (sobota), czytamy: „Przypominają mi się rozmowy z Jerzym Stempowskim i Tadeuszem [bratem – S.Ł.] o wstydlivości. I w związku z tym nasuwa mi się, że u Wyspiańskiego nie pada słowo Ojczyzna. Powinno być to słowo na co dzień zakazane. Niech go nie mówią profani, niech nie obrzydzają go dzieciom szkolnym – niech je mówią ludzie samotni cicho, cichutko, jak się może w najgłębszym zawstydzeniu mówi bliskiemu człowiekowi, że się go kocha”. To obraz zupełnie inny, niepozbawiony emocji, powiedzielibyśmy – niewyrozumowany, jak u Bocheńskiego. Jeśli jednak zestawimy to chociażby z opisanymi wyżej fragmentami życia autorki słów, to czy można jej zarzucić, że nie była patriotką? Czy postawa, w której świadomie, czy pod wpływem literatury unikała patriotycznych wzniosłości, ale miłości ojczyzny dowodziła życiem, nie jest godna szacunku? Czy wykonywanie dobrze swoich obowiązków w czasie wojny, świetna edukacja i pozycja w świecie nauki nie są wystarczającym przejawem patriotyzmu? Dodajmy do tego w przypadku Krystyny Marek niesamowitą skromność – pewnie obruszyłaby się za te słowa. Kiedy otrzymywała w 1957 roku nagrodę Stowarzyszenia Polskich Kombatantów za znakomitą książkę traktującą o uznawaniu państw (ich istnienia i kontynuacji) w prawie międzynarodowym, pisała do gen. Kukieła i członków stowarzyszenia o dylemacie, który towarzyszył jej pracy – zbieżności jej badań z zapotrzebowaniem wynikającym z sytuacji rządu polskiego na uchodźstwie. I pisała tak: „Nie będę ukrywała niebezpieczeństw takiej zbieżności. Może na niej łatwo ucierpieć albo uczciwość intelektualna, albo wola służenia swojemu krajowi. Mogę dzisiaj ze spokojnym sumieniem stwierdzić, że konflikt taki

został mi oszczędzony. Moje opracowanie sprawy polskiej nie zostało okupione ani pogwałceniem uczuć, ani sacrificium intellectus. Nie jest moją rzeczą sądzić, czy opracowanie jest dobre i przekonywujące. Jest moim prawem twierdzić, że jest uczciwe". Czyż owa uczciwość, na której jej tak zależało, nie jest jednocześnie oznaką patriotyzmu? Zagrożenie, które przeczuwała, było jasne – napisanie książki pod tezę, np. że rząd emigracyjny jest legalny, a ten w Warszawie nie – nie sprawiłoby jej przecież żadnej trudności. Tyle, że to byłby poziom propagandy. Przeprowadzenie badania (dokumentacji) i rozumowania, które dało taki wynik – to była postawa uczciwa. Obawa, która nią targała, podpowiadała jej, że nie może znać wyniku badania zawczasu. A zatem i wynik badania mógł być inny... Wreszcie sprawa jej pomocy dla „Solidarności” – również tutaj jej postawa była zaskoczeniem. Po sukcesie postępowania przed Międzynarodową Organizacją Pracy padły propozycje uhonorowania jej. Odmówiła. Do Anieli Mieczysławskiej pisała 19 VII 1984 roku: „Merytorycznie: zrobiłam dla wspólnej sprawy znacznie mniej, niż mi się to przypisuje. Za ten mój wkład zostałam więcej niż sowicie wynagrodzona jakże dobrymi słowami Pana Prezydenta [Kazimierza Sabbata- S.ł.], kwiatami od »Solidarności« i przedrukami moich prac w prasie podziemnej[chodziło m.in. o jej tekst o Jałcie – S.ł.]. Jest to wszystko więcej, niż mi się należy i na tem już musimy poprzestać”. Sztuka skromności, człowieka, który zrobił to, czego inni nie mogliby uczynić – z braku wiedzy i kompetencji do przeprowadzenia takiej akcji. Ile dla wyrażenia patriotyzmu może znaczyć właśnie spokojne, racjonalne myślenie jak o. Bocheńskiego czy skromność i budowanie swoich kompetencji, których w określonym momencie można mądrze użyć.

I wreszcie pytanie na koniec: jak ta rapperswilska lekcja patriotyzmu ma się do współczesnych manifestacji patriotycznych? Czy dla kogoś obecnie opisane wyżej postawy mogą wydać się atrakcyjne? Liczę, że tak. I mam nadzieję, że mamy w Polsce wielu patriotów, którzy nie afiszując się ze swoim patriotyzmem, gdy będzie tego potrzeba, po prostu go okażą. Oby ci, którzy dzisiaj tak żywo o nim rozprawiają, mieli również czym się wykazać w chwili próby. A nie musi to być próba krwi.

Rapperswil, 4 sierpnia 2017 r.

LAUDIATIO dla Profesora Timothy Snydera



JAN POMORSKI

LAUDATIO

**Wasza Magnificencjo Rektorze,
Prześwietny Senacie Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej,
Dostojni Goście,
Drogi Profesorze Snyder!**

Dziś historycy mają swoje wielkie święto. Oto jeden z najwybitniejszych przedstawicieli naszej profesji – profesor Timothy Snyder z Yale University – zostanie wyróżniony doktoratem honorowym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

W wydanej 2009 roku *70. Księga Urodzinowa dla Normana Daviesa / 70. A Birthday Book for Norman Davies* znalazłem takie zdanie autora *Bożego Igrzyska* o naszym dzisiejszym bohaterze:

Timothy Snyder, którego miałem przyjemność egzaminować podczas obrony doktorskiej, dowiódł, że należy do najbliższych przedstawicieli młodego pokolenia badaczy historii wchodnioeuropejskiej. Ogromny talent łączy z osobistą skromnością i śmiałym piórem. Chodzą słuchy, że jest najbardziej oczywistym kandydatem na mojego następcę – jeśli tak się stanie, będę mógł jedynie przyklasnąć. (s. 174)

Profesor Davies dostał swój pierwszy doktorat honorowy właśnie na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie równo 25 lat temu, dziś swój pierwszy doktorat w tym samym miejscu odbierze Profesor Snyder. Zbieżność miejsca nie jest więc przypadkowa, a samo nawiązanie ma wymiar symboliczny. Obydwu badaczom Polska, polski świat nauki historycznej i nasz uniwersytet wiele zawdzięczają. I obydwu mamy przyjemność gościć dziś ponownie wśród nas.

Przywoływana przeze mnie kategoria zbieżności *versus* rozbieżności miejsca, czasu i akcji to przede wszystkim narzędzia analizy historycznej stosowane w

historii porównawczej i w historii transnarodowej. W obydwu dziedzinach Profesor Snyder jest uznanym autorytetem. O związkach Snydera z historią Polski można opowiadać na wiele sposobów i analizować je na wielu poziomach. Właściwie każda z jego książek i większość artykułów zawiera jakieś bezpośrednie odwołanie czy inspirację lub choćby tylko trop polski. Bardzo mocno podkreślali to recenzenci w postępowaniu o nadanie Snyderowi doktoratu honorowego, profesorowie Andrzej Paczkowski, Dariusz Stola i Janusz Wrona. Dlatego pozwolę sobie zwrócić uwagę na nieco inne aspekty twórczości dzisiejszego laureata.

Wydarzenia historyczne są oglądane przez niego *in statu nascendi*, odsłaniają „logikę decyzji”, czyli prawdziwe wybory, przed jakimi stoi *homo historicus* – człowiek jako sprawca historii. Dla Snydera analityka historii współczesnej, jakim jest w swej ostatniej książce, „Droga do zniewolenia: Rosja, Europa, Ameryka” (Snyder 2018), sprowadza się to każdorazowo do wyboru między sześcioma alternatywnymi możliwościami, przed jakimi stoimy, chcąc tworzyć przyszłe dzieje.

Jest to, po pierwsze, **wybór między indywidualizmem a totalitaryzmem**, czyli między systemem politycznym, w którym życie każdego człowieka i prawa jednostki są wartościami najwyższymi, a takim, w którym są one podporządkowane władzy totalitarnej, rządzącej rzekomo w imię suwerena. Po drugie, jak patrzymy na historię: czy naszą przyszłość chcemy budować na **sukcesji** tego, czego dokonały poprzednie pokolenia, czy też **przeszłość to ciąg porażek**, od których należy się uwolnić?

Po trzecie, stajemy wobec wyboru między rozwojem opartym na większej **integracji** a rozwojem opartym na **imperialnych interesach**. Po czwarte, czy przyszłość to tylko **realizacja odwiecznych planów**, na które nie mamy wpływu, czy też przeciwnie, wiele zależy od naszej **zdolności do bycia nowoczesnymi**, odkrywania czegoś nowego? Opowiedzenie się za **wiecznością** prowadzi bezpośrednio do „końca historii” czy „świata bez historii”. Do apatii, wynikającej z pogodzenia się z historią jako czymś, na co nie możemy mieć wpływu, czymś nieuchronnym. Odrzucenie obydwu mitów: wieczności i nieuchronności, oznacza powrót do myślenia historycznego, do świata z historią. Daje szansę/nadzieję na zmianę istniejącego stanu rzeczy, na który się nie godzimy.

Po piąte, stoimy przed alternatywą: **albo w życiu publicznym opowiadamy się za prawdą, albo za kłamstwem** (postprawdą). Tu też musimy się jednoznacznie samookreślić. Trzeciej drogi nie ma! I po szóste wreszcie, chodzi o to, **czy opowiemy się za systemem społecznym opartym na zasadach równości czy też zgodzimy się na oligarchię**.

Za tymi alternatywami kryją się określone strategie, wyrastające z przeszłości i nakierowane na przyszłość. Ich poznawcze rozpoznanie i rozpracowanie (dekonstrukcja) – oto cel, jaki przed sobą postawił Timothy Snyder. Laudacja jest doskonałą okazją, aby opowiedzieć szerszej publiczności o tych dokonaniach Profesora Snydera w obrębie nauki historycznej i o lekcjach, jakie wyciąga on z europejskiej historii.

Jego ostatnia książka jest próbą odczytania tego, co przydarzyło się Rosji,

Europie i Ameryce w ciągu ostatniej dekady, ale przede wszystkim jest opowieścią o tym, że jako społeczeństwo nie odrobiliśmy lekcji, jaką zostawiła ludzkości historia wieku XX. *The Road to Unfreedom* jest próbą pokazania, jak ten deficyt wiedzy i myślenia historycznego ciąży nad współczesną polityką i prowadzi Rosję, Europę i Amerykę prostą drogą do zniewolenia przez nową formę tyranii. To Orwellowski świat do potęgi, świat zniewolonych umysłów, gdzie historia nie jest już formą samowiedzy i autorefleksji społeczeństwa, lecz tylko grą rządzących prowadzoną na emocjach społecznych i mitach historycznych suwerena.

Czytając Snydera, tę lekcję historii odrabiamy. To lektura fascynująca intelektualnie, historiografia najwyższej próby, podana doskonałym językiem. Opowiedzieć o tym, w krótkiej laudacji – to prawdziwe wyzwanie. „Snyder w pigułce” czy, jeśli ktoś woli, „ściągawka ze Snydera” nie zastąpią rzecz jasna bezpośredniego spotkania z Jego twórczością. Moim celem jest tu zatem jedynie dać próbkę talentu Profesora, by zachęcić w ten sposób do niespiesznego delektowania się wyrafinowanym smakiem Jego książek.

Pytanie, jak należałoby mówić o współczesnej historii europejskiej, by bronić się przed zniewoleniem „złą historią”, przewija się właściwie przez całą twórczość Timothy’ego Snydera. W jednej ze swych pierwszych książek, *Czerwonym Księciu*, tak na nie odpowiadał:

Narody stoją twarzą ku przyszłości. Tworzy się ona i zmienia każdego dnia. Jeśli wierzymy, że naród ma swoje miejsce w uporządkowanych podręcznikach historii, danej nam przez naszych przywódców, nasza historia dobiega końca. (Snyder 2010, s. 276)

Ale Snyder nie wierzy w „koniec historii”, wie, że – wbrew Fukuyamie – dzieje piszą się nadal. Wie, że walka, o której opowiadał, przywołując losy Kazimierza Kelles-Krauz, Henryka Józewskiego czy Wilhelma von Habsburga, bohaterów trzech jego książek biograficznych, walka o upodmiotowienie człowieka jako sprawcy historii, czyli twórcy swej tożsamości społecznej i narodowej, demokracji, a finalnie i samej historii, jest ciągle niezakończona. Powiada metaforycznie:

Wszyscy obywatele decydują w jakimś zakresie, przynajmniej w demokracjach, gdzie ich głosy się liczą, o tym, w jaki sposób należą do swoich narodów. Może mieliby więcej zaufania do niekonwencjonalnych wyborów, gdyby zobaczyli, że twórcy każdego narodu byli zbuntowanymi i nieprzewidywalnymi ludźmi obdarzonymi wyobraźnią i ambicją. Stał każdego pomnika narodowego kiedyś została wytopiona. (tamże)

Bohaterowie jego opowieści, Kelles-Krauz, Józewski i Wilhelm von Habsburg, nie byli pierwszoplanowymi postaciami historii XX stulecia, ale zasłużyli sobie przynajmniej na pomniki historiograficzne. I Timothy Snyder je dla nich zbudował, dedykując każdemu osobną książkę.

Na pomnik historiograficzny, czytaj: monografię, zasługiwało też samo konstruowanie nowożytnego narodu w czasach I Rzeczypospolitej: proces długiego trwania – Braudelowskie *la longue durée*, o którym amerykański historyk opowiedział w formie transnarodowej metanarracji historycznej w

Rekonstrukcji narodów (Snyder 2009). To za tę książkę Profesor został laureatem nagrody naukowej im. Jerzego Giedroycia, ustanowionej przez Senat UMCS.

Punktem wyjścia tej opowieści jest myśl równie genialna co prosta, wyrażona w postaci jednego lapidarnego zdania: „Jako całość książka ta ukazuje **nowożytny naród polski i jego licznych nowoczesnych sukcesorów**” (tamże, s. 21).

Litwini, Ukraińcy, Białorusini i sami Polacy wreszcie są sukcesorami tego, co zostało wytworzone jako nowożytny naród polski, w którym nie etniczność/narodowość, lecz obywatelskość była podstawą przynależności do narodu politycznego. Jeśli dodamy do tego jeszcze jedną aksjologiczną deklarację Snydera: „Naród nie jest tutaj ani przedmiotem wiary, ani drwiny, ale przedmiotem badań” (tamże, s. 23), to otrzymamy spójną koncepcję tego, czym jest dziedzictwo unii lubelskiej. Píše Snyder:

Owemu nowożytnemu narodowi nadano miano „polskiego”, ale ów termin oznaczał bardziej obywatelstwo i cywilizację niż przynależność do jakiejś grupy etnicznej. Wychodząc od roku 1569, możemy zrozumieć spójność i siłę nowożytnego narodu polskiego, możemy też uwolnić się od własnych, nowoczesnych założeń co do tego, z czym narodowość musi się wiązać. (tamże, s. 15, podkreślenia moje – J.P.)

Historia transnarodowa w wydaniu Timothy’ego Snydera wchodzi w nowy wymiar nie tylko na poziomie poznawczym, lecz także na poziomie społecznej odpowiedzialności historyka wobec wyzwań współczesności. Nie może on nie zabierać głosu, milczeć, gdy dostrzega w dniu dzisiejszym niebezpieczne paralele historyczne. „Czy umarli mogą naprawdę należeć do kogokolwiek?” (Snyder 2011, s. 438) – pyta w kontekście sporów o politykę pamięci.

Reżimy nazistowski i sowiecki zamieniły ludzi w liczby, spośród których część możemy tylko szacować, część umiemy zaś odtworzyć ze sporą precyzją. Jako naukowcy musimy określić te liczby i przedstawić je we właściwym kontekście. Jako humaniści musimy nadać im z powrotem ludzki wymiar. Jeżeli zadanie to się nie powiedzie, oznaczać to będzie, że Hitler i Stalin ukształtowali nie tylko nasz świat, ale i nasze człowieczeństwo. (tamże, s. 440)

Historyk nie może poprzestać na samym udokumentowaniu, wyliczeniu miejsc zbrodni i prostym opisie, kto ich dokonał, ile osób stracono i w jaki sposób. To ważne, ale niewystarczające. Jeśli w obliczu takiego porażającego, nawet po tylu latach, doświadczenia chcemy zachować człowieczeństwo, musimy przywrócić opisywanym wydarzeniom z powrotem **ludzki wymiar**.

*Ofiary pozostawiły po sobie żałobników. Zabójcy pozostawili liczby. Dołączenie po śmierci do wielkiej liczby oznacza rozplątanie się w strumieniu anonimowości. Pośmiertny zaciąg do rywalizujących stronnictw pamięci narodowej umacnianej liczbami, do których zaliczono czyjeś życie, oznacza utratę indywidualności. [...] **Każde istnienie ludzkie jest nieredukowalne** [podkreślenie moje – J.P.]. [...] Nawet więc, gdy znamy poprawne liczby, musimy dołożyć wszelkiej staranności. Prawidłowa liczba nie wystarcza. Każdy zapis śmierci sugeruje niepowtarzalne życie. Musimy nie tylko*

określić liczbę zabitych, lecz wyliczyć z osobna każdą ofiarę jako człowieka. (tamże, s. 439)

Właśnie to decyduje o etycznym wymiarze pracy historyka, o jego humanistycznej formacji. Dlatego Snyder humanista tak unika generalizowania, okrągłych liczb, woli pisać o 780 863 zamordowanych w Treblince, bo ta trójka na końcu może symbolizować konkretne życie ludzkie: pojedyncze losy, dobrze ilustrujące tragedię, która stała się udziałem setek tysięcy. Anonimowe postaci z przedmowy do *Skrwawionych Ziem* odzyskują twarze w zakończeniu zatytułowanym nieprzypadkowo „Człowieczeństwo”. Píše Profesor:

Tutaj tkwi być może cel historii – gdzieś pomiędzy odnotowywaniem śmierci a jej nieustanną reinterpretacją. Jedynie historia masowego zabijania może połączyć w jedno liczby ze wspomnieniami. Bez historii wspomnienia stają się prywatne, co oznacza dzisiaj – narodowe, a liczby stają się publiczne, czyli służą za instrument międzynarodowej rywalizacji o tytuł męczenników. (tamże, s. 433)

Ten wyjątkowy humanizm Snydera przejawia się także w praktykach narracyjnych, w samym sposobie pokazywania najbardziej traumatycznych doświadczeń. Z tysięcy ludzkich losów składających się na Holokaust czy Hołodomor potrafi się skupić na pojedynczej scenie, zatrzymanym w kadrze obrazie, który przejmująco ilustruje tragedię będącą udziałem milionów: oto niemowlę ssące pierś umarłej matki czy płaczące z głodu dzieci, które nagle milkną, przysysając się do ran umierającego braciszka...

Lub scena z Babiego Jaru pod Kijowem: „Naga matka karmiła piersią niemowlę, wiedząc, że to już ostatnie sekundy życia. Gdy dziecko wrzucono żywcem do jaru, skoczyła za nim, znajdując tam śmierć. Dopiero leżąc w wykopie – pisze Snyder – ludzie stawali się niczym, liczbą, która wyniosła 33 761. (tamże, s. 227)

Czasem wystarczy tylko przywołać źródło historyczne, by samo przemówiło. Siła rażenia może być ogromna. Oto przykład, jakiego użył Snyder, by zilustrować codzienność oblężonego Leningradu, pochodzący z dziennika lekarki Wiery Kostrowickiej:

Na śniegu siedzi, opierając się o słup, wysoki mężczyzna. Na sobie ma łachmany, na ramionach plecak. Kuli się przy słupie. Sądzę, że szedł na Dworzec Fiński, zmęczył się i przysiadł. Przez dwa tygodnie, idąc i wracając ze szpitala, widziałam, jak „siedzi”:

- 1. bez plecaka*
- 2. bez łachmanów*
- 3. w bieliźnie*
- 4. nagi*
- 5. szkielet w wyprutymi wnętrznościami. (tamże, s. 197)*

Snyder jako historyk XX wieku ma świadomość ograniczeń wiążących się z perspektywą narodową czy państwową, z której oglądane są dzieje. Unika jej, poszukując własnej drogi. „Skrwawione Ziemie” (*Bloodlands*) i „Czarna Ziemia”

(*Black Earth*) są dla niego **nazwami własnymi*** określonej przestrzeni, potraktowanej **podmiotowo**. Co to znaczy? Że przestrzeń jest tu niezwykle ważna: to właśnie ta konkretna Przestrzeń zostaje obsadzona w historycznej roli, staje się główną areną dramatu dziejowego – Ziemią Skrwawioną. Z kolei Czarna Ziemia to świat po Holokauście, świat bez Żydów, którzy przez wieki byli współgospodarzami tej Przestrzeni, byli tu „sąsiadami” innych narodów, z którymi dzielili Historię. A dziś są w tej Przestrzeni Wielkim Nieobecny... „Skrwawione ziemie nie stanowiły realnego ani wyimaginowanego terytorium politycznego – był to po prostu obszar, gdzie najbardziej zbrodnicze reżimy Europy dokonały swoich najbardziej morderczych czynów” (tamże, s. 19) – konstatuje Snyder.

W sensie przestrzennym ta historia dzieje się na ziemiach rozciągniętych „pomiędzy”. Dlatego przy konceptualizacji przedmiotu badań Snyder nie operuje pojęciem Europy Środkowo-Wschodniej, nazwami państw, lecz neutralnym „ziemia”: „ziemie, które spłynęły krwią w latach 1933–1945”, „Skrwawione Ziemie”, „Czarna Ziemia”. Píše: „Większość miejsc mordu znalazła się na skrwawionych ziemiach: w kategoriach geografii politycznej przełomu lat trzydziestych i czterdziestych oznaczało to Polskę, kraje bałtyckie, sowiecką Białoruś, sowiecką Ukrainę oraz zachodni kraniec sowieckiej Rosji” (tamże, s. 13). Nie o dookreślenie konkretnego obszaru geograficznego jednak tu w istocie chodzi, lecz o odpowiedź na nurtujące nas pytanie, dlaczego właśnie tu było to możliwe?

Okrucieństw tych dopuszczono się we wspólnym miejscu i czasie: na skrwawionych ziemiach w latach 1933–1945. Opis ich przebiegu stanowi przedstawienie jednego z najważniejszych wydarzeń w dziejach Europy. Bez osadzonego we wspólnym europejskim kontekście historycznym opisu wszystkich masowych zabójstw paralele pomiędzy nazistowskimi Niemcami a Związkiem Radzieckim są z konieczności ułomne. (tamże, s. 410)

A bez takich badań porównawczych nad praktykowaniem przemocy przez obydwa systemy nie uda się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego było to w ogóle możliwe i dlaczego właśnie tu: **na tych ziemiach****.

W odpowiedzi Snyder wskazuje na **nieobecność państwa**, formułując następującą prawidłowość ramową: **zbrodnie ludobójstwa były/są możliwe tam, gdzie zabrakło/zabraknie instytucji państwa**.

Píše: „eliminacja polskiej państwowości na początku wojny miała kluczowe znaczenie dla przebiegu całego Holokaustu, ponieważ właśnie na okupowanym terytorium Polski, w specjalnej strefie kolonialnej Niemiec, można było zlokalizować miejsca zagłady” (Snyder 2015, s. 295). Zauważa także, że poza samym Holokaustem „najważniejsze niemieckie masowe zbrodnie, czyli głodzenie jeńców oraz mordowanie cywilów – głównie Białorusinów, Polaków, Cyganów – również dokonały się niemal bez wyjątku w strefach bezpaństwowych. Te działania łącznie zabiły mniej więcej tyle samo ludzi, co Holokaust i realizowano je lub można je było realizować tylko w tych samych miejscach. Tam, gdzie państwa nie zniszczono, takie skrajności były niemożliwe” (tamże, s. 290–291).

A czym jest tytułowe **Ostrzeżenie z Czarnej Ziemi**?

Jest przekazem niezwykle mocnym, choć podawanym nie wprost, lecz budowanym stopniowo, by końcowa fraza zabrzmiała jeszcze wymowniej:

Gustaw Herling-Grudziński, który przetrwał stalinowski GUŁag, podczas gdy jego brat chronił Żydów, napisał, że „człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach”. Zadaniem państwa jest zapewnienie takich warunków, aby jego obywatele nie musieli postrzegać własnego przetrwania jako jedyne go celu. Zadaniem państwa jest też uznanie praw, aprobatą dla nich i ich ochrona, a to oznacza stworzenie warunków, w których prawa mogą być uznawane, aprobowane i chronione. Państwo musi być w stanie trwać, aby stworzyć poczucie trwałości. (tamże, s. 440)

Gdy państwa zabraknie, gdy instytucje państwowe są niszczone, może się zdarzyć wszystko, ostrzega Snyder.

W większości sądzimy, że posiadamy [...] „instynkt moralny” i „ludzką dobroć”; być może wyobrażamy sobie, że w przyszłej katastrofie ratowalibyśmy ludzi. Gdyby jednak państwa zostały zniszczone, lokalne instytucje uległy rozkładowi, a bodźce ekonomiczne popychały nas do mordy, niewielu spośród nas postępowałoby właściwie. Nie ma powodu sądzić, byśmy byli lepsi etycznie od Europejczyków z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku bądź mniej podatni na idee pokroju tych, które tak skutecznie głosił i zrealizował Hitler. Jeśli poważnie myślimy o naśladowaniu ratujących, powinniśmy z wyprzedzeniem stworzyć struktury, które nam to ułatwią. Zatem ratunek w tym ogólnym znaczeniu wymaga dogłębnego zrozumienia idei, które rzuciły wyzwanie tradycyjnej polityce i otworzyły drogę do bezprecedensowej zbrodni. (tamże, s. 414)

Niestety, współczesne społeczeństwa cierpią na deficyt myślenia historycznego. Miotają się pomiędzy „polityką nieuchronności” a „polityką wieczności”. „Jedno jest pewne: jeżeli młodzi ludzie nie zaczną tworzyć historii, politycy wieczności i nieuchronności ją zniszczą. Aby zaś tworzyć historię, młodzi Amerykanie [Europejczycy/Polacy, chciałoby się dodać – J.P.] muszą ją poznać. To nie jest koniec, ale początek” (Snyder 2017, s. 127–128). To bardzo przenikliwa diagnoza naszej współczesności. Także polskiej. Gdy zaniedba się edukację obywatelską, której historia jest bardzo ważną częścią formacyjną, doczekamy się młodego pokolenia nie tylko obojętnego na dobro wspólne, lecz także nieprzygotowanego do radzenia sobie z ewentualnymi zagrożeniami płynącymi zarówno z zewnątrz, jak z wewnątrz. Edukacja obywatelska, głupcze! – chciałoby się zatem zawołać.

W książce *O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku* Snyder mówi nam wprost:

To instytucje pomagają nam zachować przyzwoitość. One też potrzebują jednak naszej pomocy. Nie mów o „naszych instytucjach”, jeśli nie przychodzisz od słów do czynów i nie działasz na ich rzecz. Instytucje nie obronią się same. Jeżeli nie będziemy chronić każdej z nich od samego początku, runą jedna po drugiej. Wybierz zatem instytucję, na której ci zależy – sąd, gazetę, ustawę czy związek zawodowy – i stań

po jej stronie. (tamże, s. 23)

Wybitny polski i europejski intelektualista – także doktor honorowy Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (2004) – Krzysztof Pomian powiedział kiedyś: „Bycie historykiem nie jest czymś przyznanym raz na zawsze wraz z dyplomem ukończenia odpowiednich studiów. Bycie historykiem musi zyskać za każdym razem potwierdzenie zajmowaną postawą poznawczą i moralną” (Pomian 2014, s. 35). Profesor Timothy Snyder jest tej dewizy najlepszym ucieleśnieniem! Dziś dołącza do grona naszych doktorów honorowych i jesteśmy z tego powodu – jako wspólnota akademicka Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie – bardzo dumni!

Korekta językowa: Beata Bińko

Przypisy:

* Z tego względu w języku polskim oba człony nazwy powinny być konsekwentnie pisane wielką literą, czego wydawcy, niestety, nie respektują.

** „Niemcy dokonywali masowych mordów na Żydach w okupowanej Polsce, na Litwie, Łotwie i w Związku Radzieckim, **ale nie w samych Niemczech** [podkreślenie moje – J.P.]” (Snyder 2011, s. 8).

Bibliografia:

70. *Księga Urodzinowa dla Normana Daviesa / 70. A Birthday Book for Norman Davies*, Znak, Kraków 2009.

Pomian Krzysztof, *Historia dziś*, w: *Historia – dziś. Teoretyczne problemy wiedzy o przeszłości*, red. Ewa Domańska, Rafał Stobiecki, Tomasz Wiślicz, Universitas, Kraków 2014.

Snyder Timothy, *Czarna Ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2015.

Snyder Timothy, *Czerwony Księżę*, tłum. Maciej Antosiewicz, Świat Książki, Warszawa 2010.

Snyder Timothy, *O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Znak, Kraków 2017.

Snyder Timothy, *Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569–1999*, tłum. Magda Pietrzak-Merta, Pogranicze, Sejny 2009.

Snyder Timothy, *The Road to Unfreedom: Russia, Europe, America*, Tim Duggan Books, New York 2018.

Snyder Timothy, *Skrwawione Ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, tłum. Bartłomiej Pietrzyk, Świat Książki, Warszawa 2011.

Wspólne dziedzictwo. Річ Посполита обох народів в польській і українській історичній думці XIX і XX w.



**MAŁGORZATA CHOMA-JUSIŃSKA
EWA SOLSKA**

**Wspólne dziedzictwo. Rzeczpospolita Obojga Narodów w polskiej i ukraińskiej
myśli historycznej XIX i XX w. (Drohobycz, 27-28 września 2018 r.)
Спільна спадщина. Річ Посполита обох народів в польській і українській
історичній думці XIX і XX w. (Дрогобич, 27-28 вересня 2018 r.)**

W dniach 27–28 września 2018 r. odbyła się w Drohobyczu międzynarodowa konferencja naukowa pt. „Wspólne dziedzictwo. Rzeczpospolita Obojga Narodów w polskiej i ukraińskiej myśli historycznej XIX i XX w.”; organizatorem zjazdu był Drohobycki Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny im. Iwana Franki. Tematyka konferencji, wpisanej w cykl statutowych działań Towarzystwa Historiograficznego, koncentrowała się wokół dziejów historiografii, historii idei, teorii historii i metodologii nauk historycznych. W obradach uczestniczyło ponad osiemdziesięciu badaczy i nauczycieli akademickich reprezentujących różne ośrodki naukowe w Polsce i Ukrainie, m.in. Uniwersytet Gdański, Uniwersytet Łódzki, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Rzeszowski, Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Instytut Sławistyki Polskiej Akademii Nauk, Czarnomorski Narodowy Uniwersytet im. Piotra Mohyły w Mikołajowie, Lwowski Uniwersytet Narodowy im. Iwana Franki, Czerkaski Uniwersytet Narodowy im. Bohdana Chmielnickiego, Dnieprzański Uniwersytet Narodowy Uniwersytet im. Olesia Honczara, Wschodnioeuropejski Narodowy Uniwersytet im. Łesi Ukrainki w Łucku, Umański Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny im. Pawła Tyczyny, Doniecki Uniwersytet Narodowy im. Wasyla Stusa w Winnicy oraz Dniepropietrowskie Narodowe Muzeum Historyczne im. D.I. Jawornickiego.

27 września uczestnicy konferencji spotkali się na sesji wprowadzającej, następnego dnia obradowali w czterech równoległych sekcjach panelowych. Referenci prezentowali zagadnienia odzwierciedlające aktualne obszary badawcze i edukacyjne historiografii polskiej i ukraińskiej. Podjęli próbę ukazania ciągłości i zmian w ujęciach interpretacyjnych, w analizie dawnych szkół i obecnych orientacji oraz przybliżenia charakterystycznych nurtów i tendencji w kontekście współczesnej humanistyki. Istotnym przedmiotem zainteresowań badawczych okazała się przy tym nie tylko historiografia poszczególnych aspektów dziedzictwa prawnopolitycznego i kulturowego I Rzeczypospolitej, lecz także aktywność polskich i ukraińskich środowisk naukowych prowadzących badania nad tą problematyką, przede wszystkim historyków lwowskich i krakowskich oraz odnośna działalność towarzystw naukowych.

Ważnym obszarem badań w tym zakresie prezentowanym przez prelegentów jest piśmiennictwo dotyczące wymiarów funkcjonowania Rzeczypospolitej Obojga Narodów, począwszy od zagadnień prawno-ustrojowych po kwestie szeroko pojętej kultury i obyczajów, także w kontekście mitologizacji, polityki historycznej i polityki pamięci. Omawiano przy tym koncepcje interpretacyjne czynników rozwoju struktur i przyczyny upadku państwowości, oscylując wokół tradycyjnych sporów historiograficznych i kwestii, jak pisać, rozumieć i przepracowywać te dzieje. Referenci przedstawili dyskusje dotyczące wydarzeń i zjawisk uważanych za konstytutywne, m.in. Unii lubelskiej, ugody w Hadiaczu, formacyjnej roli społeczności Kozaków czy mitu kresowego. Poruszono kwestię słowiańskości oraz relacji polsko-litewskich w myśli historycznej wybranych badaczy i publicystów. Nie zabrakło tradycyjnych portretów historiograficznych postaci i rodów uznawanych za inspiratorów zdarzeń i fundatorów *modum vivendi*, m.in. Stefana Batorego, Iwana Mazepy, Bohdana Chmielnickiego i Tadeusza Kościuszki. Zainteresowaniem cieszyła się problematyka dotycząca oddziaływania kościołów chrześcijańskich na procesy polityczne i społeczne, w tym ich znaczenie jako czynnika kształtującego lokalne stosunki w wiekach późniejszych, aż do czasów współczesnych. Nie zabrakło analizy wydarzeń XX-wiecznych, które zdynamizowały przemiany i określiły kierunek tych procesów na obszarach dawnej Rzeczypospolitej. Znalazło to odzwierciedlenie w bloku referatów prezentujących współczesną historiografię poświęconą zagadnieniom okresu I wojny światowej, kształtującym historię Polaków i Ukraińców w relacjach wzajemnych, m.in. istnieniu Ukraińskiej Republiki Ludowej w latach 1917–1921. Pokazano, choć wrywkowo, jak argument dawnej wspólnoty dziejów wykorzystywano we współczesnych rozgrywkach geopolitycznych i etnopolitycznych; sygnalizował to m.in. referat na temat uzasadnienia przynależności Śląska do Polski w historiografii lat 40. i 50. XX w. Także doświadczenia II wojny światowej i politycznego podziału świata po 1945 r. miały istotny wpływ na wizje i interpretacje historii Rzeczypospolitej Obojga Narodów, co rekonstruowała analiza myśli historycznej i politycznej polskich i ukraińskich emigrantów. Wśród poruszanych zagadnień znalazła się m.in. publicystyka „Rocznika Europy Środkowo-Wschodniej”, jednego z najważniejszych periodyków, w których historia i współczesne problemy Polski i Ukrainy zajmują kluczowe miejsce.



Prelegenci skupili się na zagadnieniach istotnych dla historii Polski i Ukrainy. Omawiali poszczególne przypadki, wśród których znalazło się kilka niekonwencjonalnych ujęć, ale unikali wyraźnego zderzenia odmiennych interpretacji obecnych w historiografii polskiej i ukraińskiej. Inicjujące zwłaszcza przy studiach problemów starcie perspektyw badawczych, w odniesieniu np. do orientacji postkolonialnej czy historii mniejszości, a także stałe w tym układzie tematy politycznie i etycznie „niewygodne” marginalizowano. W efekcie mieliśmy tu raczej dyskurs dwóch nurtów historiografii akademickich, które, mimo świadomych i planowych zapewne podejść metodologów w próbach sprowokowania konfrontacji, unikają przecież, powodujących ryzykowny dla wygodnego skanalizowania badań ferment i rewizjonizm. Tymczasem takie przecięcia wprowadziłyby ów dyskurs na nowe, wciąż nieobecne czy pomijane obszary nauki historii. Pewnym mankamentem, wynikającym wszakże z zawężonego programowo zakresu tematyki konferencji, było pominięcie historiografii litewskiej poświęconej Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz kwestii udziału Białorusinów w rzeczonym dziedzictwie. Jednak w całościowym bilansie zjazd w Drohobyczu, poza wyśmienitą organizacją, pokazał ożywczą różnorodność tematów i wielość nurtów badawczych, uzmysławiając przy tym, że spójna i wyczerpująca wizja czy jeden model interpretacyjny byłyby tu niedorzecznością. Fakt ten przyjmujemy nie jako postulat, lecz jako założenie, które stanowi z kolei dość mocną przesłankę dla kontynuacji dyskursu wokół tematyki I Rzeczypospolitej w podobnym stylu, ale in spe przy nowych i dalszych koncepcyjnych rozszerzeniach.

Lubelski Lipiec 1980 r.



MAŁGORZATA CHOMA-

JUSIŃSKA

Lubelski Lipiec 1980 r.

Historia lipcowych strajków na Lubelszczyźnie w 1980 r. weszła do kanonu wiedzy o buntach społecznych w PRL właściwie dopiero na przełomie XX i XXI stulecia, po ukazaniu się książki *Lubelski Lipiec* Marcina Dąbrowskiego (2000), który z kronikarską dokładnością odtworzył przebieg wydarzeń w regionie między 8 a 25 lipca. W następnych latach wątek lipcowych protestów powracał w publikacjach naukowych i popularnych, bez przesady można jednak stwierdzić, że poza Lubelszczyzną do powszechnej świadomości przebiły się tylko strajki na Wybrzeżu, zakończone podpisaniem porozumień sierpniowych. Tymczasem o miesiąc wcześniejsze wydarzenia na Lubelszczyźnie miały istotne znaczenie dla genezy ruchu „Solidarności”.

Lipcowe protesty bywały często deprecjonująco określane jako strajki „o kotleta”. Rzeczywiście bezpośrednią ich przyczyną była podwyżka cen mięsa i wędlin, którą komunistyczne władze wprowadziły 1 lipca. Formalnie podwyżki wdrażał Centralny Związek Spółdzielni Spożyców „Społem”, a nie rząd. Odbyło się to bez rytualnej zapowiedzi i zwyczajowych rekompensat. Od 1 lipca wybuchały nieskoordynowane strajki w różnych zakładach w kraju, m.in. w WSK „PZL-Mielec”, Fabryce Samochodów „Autosan” w Sanoku, Zakładach Mechanicznych „Ursus” w Warszawie. Wygasały dzień później lub po kilku dniach, kiedy władze ustępowały przed żądaniem płacowymi.

9 lipca strajk rozpoczęli pracownicy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL-Świdnik”. Był to największy zakład na Lubelszczyźnie, zatrudniał ok. 9 tys. osób. Następnego dnia protesty rozszerzyły się również na zakłady pracy w Lublinie. Wprawdzie 11 lipca dyrekcja WSK podpisała porozumienie z

pracownikami (co było ewenementem w relacjach władz ze zbuntowanymi obywatelami) i strajk się zakończył, ale tego samego dnia od stanowisk pracy odeszła załoga największego przedsiębiorstwa w Lublinie – Fabryki Samochodów Ciężarowych. 16 i 17 lipca zastrajkowała Lokomotywownia PKP, a potem inne zakłady lubelskiego węzła PKP. Protesty rozprzestrzeniały się także – choć w dużo mniejszej skali – na województwa sąsiednie: zamojskie, chełmskie, białkopodlaskie. Podwyżki cen, szczególnie zaś świadomość, że tym razem władze godzą się na ustępstwa wobec robotników, były tylko jedną z przyczyn fali strajków. Istotne znaczenie miały nastroje społeczne, przekonanie o konieczności zmian w sferze gospodarki, spraw socjalnych, warunków pracy, w relacjach rządzących ze społeczeństwem. Okrzyki „Koniec z tym!”, „Tak dłużej być nie może!” wyrażały determinację protestujących.

Protesty w regionie osiągnęły apogeum 18 lipca, kiedy strajkowało w województwie lubelskim 79 zakładów pracy, w tym przedsiębiorstwa transportowe w Lublinie, co sparaliżowało życie miasta i nadało wydarzeniom charakter strajku powszechnego.

W sumie w lipcu w Polsce strajkowało 177 zakładów pracy i 81 tys. pracowników, z czego 40–50 tys. w ówczesnych województwach lubelskim, chełmskim, zamojskim i białkopodlaskim. Te liczby nie były szczególnie imponujące. Protesty przebiegały spokojnie. Nie wywołały szerszych reakcji w innych regionach. Objęły obszar prowincjonalny, poza centrum życia społeczno-politycznego kraju, a dodatkowo kilka tygodni później przesłoniły je strajki na Wybrzeżu.

Mimo tych zastrzeżeń lipcowe strajki na Lubelszczyźnie zasługują na uwagę. Protesty na Lubelszczyźnie różniły się od dotychczasowych strajków w 1970 i 1976 r. Pracownicy nie opuszczali zakładu pracy do końca swojej zmiany, prowadząc protest rotacyjny. Przyjęli postawę gotowości do dialogu z władzami, negocjacji, a nie konfrontacji. Wyłaniano ciała przywódcze, ponieważ jednak dla pracowników – jak i dla władz – słowo „strajk” stanowiło tabu, reprezentowały ich komitety „postojowe” czy „robotnicze”.

Strajki wybuchały spontanicznie, nie miały charakteru solidarnościowego. Wprawdzie utrzymywano kontakt między zakładami, ale wynikało to raczej z naturalnych związków łączących kooperujące przedsiębiorstwa lub prywatnych relacji między pracownikami, a nie poczucia wspólnoty interesów. Nie powstał wspólny międzyzakładowy komitet strajkowy. To między innym przesądziło o wygasaniu protestów po 20 lipca. Największe przedsiębiorstwa już zakończyły strajki, a trzy dni wolne od pracy (20–22 lipca) zdemobilizowały załogi i rozładowały napięcie.

Również ekipa Edwarda Gierka przyjęła strategię ugodowego rozwiązania kryzysu, wycofywania się z podwyżek, przyjmowana płacowych postulatów strajkowych. Jednocześnie działaniami politycznymi czy policyjnymi, za pośrednictwem Służby Bezpieczeństwa, władze próbowały wywierać presję na strajkujących. Była to w pewnym sensie kontynuacja umiarkowanej polityki władz wobec opozycji. Często powtarza się, że Gierek dbał o to, by zachować w oczach Zachodu wizerunek liberalnego przywódcy. Niemniej w lipcu 1980 r. kierownictwo PZPR musiało też liczyć się z nastrojami w szeregach partyjnych – także w tym gronie dostrzegano konieczność zmian. Kiedy 18 lipca Lublin był

niemal sparaliżowany strajkami, na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR w Warszawie zdecydowano o powołaniu specjalnej komisji rządowej, która miała się zająć rozpatrzeniem postulatów strajkowych.

Jak w przypadku innych kryzysów społeczno-politycznych w PRL, istotną rolę odgrywała propaganda. Władze przyjęły strategię ograniczania obiegu informacji o protestach i ich skali. Był to przejaw swego rodzaju magicznego myślenia, że jeśli o czymś nie mówi się publicznie, to zjawisko takie nie istnieje. Dopiero 17 lipca „Sztandar Ludu” w artykule Nasze wspólne troski wspominał o „przerwach w pracy” w kilku dużych przedsiębiorstwach. Tylko w wydaniu gazety z 19 lipca opublikowano komunikat z posiedzenia BP KC PZPR i informację o powołaniu komisji rządowej (wspomniano o tym także w audycji lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia). W przeciwieństwie do kampanii propagandowych towarzyszących protestom w 1968, 1970 i 1976 r., w oficjalnych wypowiedziach nie było ataków na „rozrabiaczy” i „warchołów”. Prasa kreśliła obraz wzrostu wydajności pracy i rosnącej produkcji. Choć oczywiście występowały również niedociągnięcia i „wspólne troski”. Wyrazem tych ostatnich były przewijające się w medialnych przekazach apele o „odpowiedzialność i rozwagę”.

W lipcu postulaty strajkowe miały przede wszystkim charakter ekonomiczny i socjalny albo dotyczyły spraw konkretnego zakładu. Formułowane żądania zrównania płac i świadczeń socjalnych oraz zlikwidowania przywilejów różnicujących regiony kraju i grupy zawodowe, zwłaszcza tych należnych milicji i wojsku, wyrażały egalitaryzm robotników. Sfery politycznej dotyczyły postulaty uniezależnienia związków zawodowych od PZPR i administracji czy publikowania w prasie prawdziwych informacji o sprawach gospodarczych i politycznych (to odnosiło się do cenzury).

W przeciwieństwie do protestów sierpniowych, strajki w lipcu wybuchły bez bezpośredniego udziału opozycji demokratycznej. Lublin był stosunkowo silnym ośrodkiem na ówczesnej mapie niezależnych inicjatyw: lubelskie środowisko skupione wokół pisma „Spotkania” było jednym z pierwszych w kraju tworzących niezależny ruch wydawniczy (kilka osób z tego kręgu łączyły też więzi współpracy czy przyjaźni z działaczami Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”), aktywni byli uczestnicy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, działacze Konfederacji Polski Niepodległej, w województwie powstał pierwszy w kraju Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej. Wpływy opozycji głównie inteligenckiej wśród robotników ograniczały się jednak przede wszystkim do rozpowszechniania niezależnych wydawnictw. Udział robotników czy, szerzej, pracowników przedsiębiorstw w jej działalności był marginalny, podobnie jak kontakty osobiste z opozycjonistami. Niemniej właśnie ci, którzy przed lipcem 1980 r. zetknęli się z kręgami kontestującymi system, należeli do najbardziej aktywnych działaczy strajkowych. Trzeba zwrócić uwagę na jeszcze jeden istotny kanał oddziaływania na świadomość środowisk pracowniczych. Poza opozycyjną prasą, zwłaszcza „Robotnikiem”, taką rolę odgrywała polska rozgłośnia Radia Wolna Europa. Tematy dotyczące sytuacji gospodarczej w PRL czy braku instytucjonalnego zabezpieczenia interesów zawodowych robotników przewijały się wielokrotnie na antenie radia.

Po wybuchu protestów KSS „KOR”, ROPCiO i chłopskie komitety samoobrony wydały oświadczenia popierające strajkujących. Zapewne nie miały one bezpośredniego

znaczenia dla rozwoju sytuacji na Lubelszczyźnie, ale powielane w prasie drugiego obiegu i na antenie RWE, przyczyniły się do rozpowszechnienia w kraju informacji o protestach. Ta informacyjna rola opozycji w Lipcu była istotna. Wobec milczenia oficjalnej prasy w Lublinie działacze różnych środowisk nawiązywali kontakty ze strajkującymi załogami, zbierali dane o okolicznościach strajków i postulatach. Różnymi drogami, m.in. za pośrednictwem KSS „KOR”, informacje przekazywane były zagranicznym korespondentom w Polsce i redakcji RWE, a potem na falach radiowych wracały do kraju. W ten sposób przełamano monopol władz na obieg informacji.

Lubelski Lipiec 1980 był swego rodzaju (nieuświadomionym) testem organizacji i siły robotniczego protestu oraz reakcji rządzących. Kilka tygodni później na Wybrzeżu zaowocowały słowa powtarzane w lipcowych oświadczeniach opozycji o potrzebie solidarności i wzajemnego wsparcia różnych środowisk. Jeszcze przed powstaniem „Solidarności” nawiązane zostały więzi współpracy między robotnikami a opozycją w Lublinie. Dla lublinian Lipiec 1980 miał ogromne znaczenie w procesach budowania wspólnoty. W mieście strajkowało 91 zakładów pracy, protesty stały się zatem elementem doświadczenia sporej części mieszkańców miasta. Od jesieni na świeżej pamięci lipcowych strajków budowano siłę regionalnej „Solidarności”. Ale jeszcze większego znaczenia Lipiec nabrał z perspektywy czasu. Współcześnie jest ważnym elementem wzmacniania poczucia lokalnej tożsamości.

Korekta językowa: Beata Bińko

Literatura

Choma-Jusińska Małgorzata, Środowiska opozycyjne na Lubelszczyźnie 1975–1980, Warszawa–Lublin 2009.

Dąbrowski Marcin, Lubelski Lipiec 1980, Lublin 2000

Dąbrowski Marcin, NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni w latach 1980–1981, Lublin 2014.

Friszke Andrzej, Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności, Kraków 2011.

Kozłowski Tomasz, Anatomia rewolucji. Narodziny ruchu społecznego „Solidarność” w 1980 r., Warszawa 2017.

Krzemiński Ireneusz, Solidarność. Niespełniony projekt polskiej demokracji, Gdańsk 2013.

[Kim byli churchilłowscy „nieliczni”?](#)



JAN SZKUDLIŃSKI

Kim byli churchilowscy „nieliczni”?

Pod datą 20 sierpnia 2010 r. na stronie internetowej polskiego wydania „Newsweeka” zamieszczono artykuł pod tytułem „70 lat temu Churchill dziękował Polakom za bitwę o Anglię”. Chodzi oczywiście o jedno z najświetniejszych przemówień wygłoszonych przez brytyjskiego premiera, w którym pada zdanie: „Nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym”. Przekonanie, że w wypowiedzi tej brytyjski premier miał na myśli 144 polskich pilotów myśliwskich, którzy należeli do najskuteczniejszych lotników broniących brytyjskiego nieba przez Luftwaffe, wydaje się dość powszechne. Wyniki internetowego wyszukiwania pokazują szereg trafień z popularnych portali dla szukających łatwych rozwiązań uczniów, jak również podobne wypowiedzi z blogów czy serwisów medialnych. Portal Polskiego Radia opublikował 2 sierpnia 2014 r. tekst pt. Dywizjon 303 – bohaterzy bitwy o Anglię, gdzie napisano: „Do historii przeszły słowa ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla, który wspominając udział Polaków w bitwie o Anglię, powiedział: »nigdy w historii ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak dużo tak nielicznym«”. Serwis internetowy Radia Wnet, donosząc o rozpoczęciu zdjęć do filmu „Dywizjon 303”, napisał: „Winston Churchill powiedział o polskich lotnikach: »Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym«. I miał absolutną rację”. Recenzentka powieści Remigiusza Mroza pt. Turkusowe szale o 307 Dywizjonie Nocnym, „Lwowskich Puchaczach”, napisała: „Polscy piloci, strzelcy, radiooperatorzy i mechanicy wykonywali swoją pracę doskonale. Winston Churchill powiedział o nich: »Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym«. Miał absolutną rację...”. Często też spotykam się z tym twierdzeniem w debatach historycznych toczonych na odczytach, konferencjach – wygłaszanym niekiedy przez doświadczonych historyków – jak i na internetowych forach czy portalach społecznościowych.

Czy jednak Winston Churchill rzeczywiście mówił o Polakach? Treść

przemówienia, dostępna na stronach Towarzystwa Churchillowskiego, nie sugeruje niczego podobnego. To długie przemówienie, poruszające różne wątki, w części tylko poświęcone jest pilotom myśliwskim. Ponadto brytyjski premier pragnie przypomnieć także poświęcenie pilotów brytyjskich samolotów bombowych, którzy wykonują w bardzo trudnych warunkach działania odwetowe przeciwko Niemcom, nie uzyskując z tego powodu nawet ułamka uznania przypadającego pilotom myśliwskim. Jednakże wątpliwości nie pozostawia fakt, że we fragmencie swej mowy mówiącej o „nielicznych” Churchill wprost mówi, że ma na myśli „lotników brytyjskich”. I nie mogło być inaczej. Winston Churchill nie mógł dziękować polskim lotnikom w swojej mowie, ponieważ w chwili, gdy mowę tę wygłaszał, czyli 20 sierpnia 1940 r., Dywizjony 303 i 302, które miały okryć się zasłużoną sławą, nie osiągnęły jeszcze gotowości bojowej. W walkach uczestniczyło już kilkunastu polskich pilotów, ale w składzie dywizjonów brytyjskich. Dywizjon 303 wszedł do walki 11 dni po mowie Churchilla i w zaciętych walkach stał się najskuteczniejszą jednostką Fighter Command wyposażoną w starsze maszyny Hawker Hurricane I, z około 55 zestrzeleniami, jednym z trzech najskuteczniejszych dywizjonów Fighter Command. Choć więc polskie dywizjony zyskały zasłużenie ogromną sławę podczas bitwy o Anglię, mowa Churchilla miała miejsce wcześniej, brytyjski premier nie mógł więc sławić w niej polskich lotników.

Skąd zatem wzięło się to przekonanie? Gdyby szukać źródła, z którego kolejne pokolenia Polaków czerpią wiedzę na temat, jedynym wyborem jest bez wątpienia arcydzieło (30 polskich wydań!) Dywizjon 303 Arkadego Fiedlera, z której to książki pokolenia Polaków czerpią wiedzę o dokonaniach polskich lotników. Także i ja po raz pierwszy zapoznałem się z tym cytatem właśnie w reportażu Fiedlera, po który sięgnąłem wcześniej, niż wymagał tego kanon lektur szkolnych. Spójrzmy więc, jak Arkady Fiedler użył churchillowskiego cytatu: „Winston Churchill już po pierwszej fazie bitwy oddał brytyjskim myśliwcom [podkr. J. Sz.] najwyższy honor. Wyrażający się często dosadnie, wypowiedział o nich wiekopomne słowa »Never in the field of human conflict was so much owed by so many to so few«”. W kolejnym akapicie Fiedler pisze: „W tym dzielnym hufcu walczyli także obok brytyjskich towarzyszy także polscy myśliwcy. Ich dywizjon [...] sławny Dywizjon 303 – wszedł do bitwy w ostatniej, decydującej fazie i walczył przez 43 dni, od 30 sierpnia poprzez wrzesień do 11 października 1940 roku”.

Jak widzimy, uważna lektura tekstu Arkadego Fiedlera nie pozostawia wątpliwości, że mowa Churchilla poprzedzała wejście do akcji Dywizjonu 303 i że brytyjski premier, wypowiadając wiekopomne słowa, miał na myśli brytyjskich pilotów myśliwskich. Jednakże sugestia pozostaje silna. Na tyle silna, że Janusz Termer, autor tekstu wprowadzającego do kolejnego wydania książki pisał: „Sam premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill powiedział po »bitwie o Anglię«, że »Nigdy w dziedzinie ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym«. A miał na myśli także i polskich lotników...” [podkreślenia J. Sz.]. O ile mi wiadomo, wstęp Janusza Termiera do wydania z 1974 r. zamieszczany był także w kolejnych wydaniach Dywizjonu 303. Katarzyna Cwiękała, autorka przeznaczonego dla uczniów opracowania zamieszczonego w jednym z najnowszych wydań książki pisze nawet: „Słowa brytyjskiego premiera Winstona Churchilla były hołdem dla polskich lotników [podkreślenie oryginalne]. Nie dziwi zatem popularność twierdzenia, iż

churchillowscy „nieliczni” to Polacy. Można sądzić, że przekonanie, iż jedna z największych postaci XX wieku osobiście doceniła bohaterstwo Polaków, wyniesie ze szkoły każde kolejne pokolenie uczniów – także i tych, którzy zamiast lektury przeczytają jej internetowe omówienia czy łatwo dostępne bryki.

Jak jednak wykazałem wyżej, to nie Arkady Fiedler ukuł mit głoszący, że „nielicznymi” w mowie Winstona Churchilla byli piloci polscy. Dlaczego autor wstępu do Dywizjonu informację tę zawarł? Przypuszczam, że przyczyną tego jest poczucie nieustannego „głodu sukcesu” odczuwanego przez jakże wielu Polaków. Często mówi się, że my, Polacy, interesujemy się historią. Niestety, nie jest to prawda. Polacy historią nie tyle się interesują, co emocjonują. I ten nasz emocjonalny stosunek do własnych dziejów sprawia, że bardzo często przeinaczamy fakty historyczne tak, by „lepiej” oddawały nasze bohaterstwo.

Bibliografia:

[<http://www.newsweek.pl/swiat/70-lat-temu-churchill-dziekowal-polakom-za-bitwe-o-anglie,63435,1,1.html>]

[<https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/902181,Dywizjon-303-%E2%80%93-bohaterzy-bitwy-o-Anglie>]

[<http://www.radionet.pl/publikacje/miedzynarodowa-produkcja-dywizjon-303-o-polskich-pilotach-walczacych-w-bitwie-o-anglie-spotkanie-z-ksieciem-williamem-i-projekty-na-100-lecie-polskiego-lotnictwa>]

[<https://historykon.pl/turkusowe-szale-recenzja/>]

[http://www.greg.pl/lektury/9,858_Dywizjon-303.html]

[<http://www.churchill-society-london.org.uk/thefew.html>]

Korekta językowa: Anna Bartoś